Nr. 37. Sobota dnia 13-go września 1913.

GOŚĆ ŚWIĄTECZNY.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę osiemnastą po Ziel. Świątkach.

LEKCYA

z pierw. listu św. Pawła do Koryntyan r. I, w. 4—8.

Bracia! dziękuję Bogu mojemu zawsze za was z łaski Bożej, która wam jest dana w Chrystusie Jezusie: iż we wszystkiem staliście się bogatymi w Nim, we wszelkiem słowie i we wszelkiej umiejętności. Jako świadectwo Chrystusowe jest utwierdzone w was, tak, iż wam na żadnej łasce nie schodzi, oczekiwającym objawienia Pana naszego, Jezusa Chrystusa; który też was umocni aż do końca bez winy w dzień przyjścia Pana naszego Jezusa Chrystusa

EWANGELIA

u świętego Mateusza, rozdział IX, wiersz 1—8.

W on czas wstąpiwszy Jezus na łódź, przewiózł się, i przyszedł do miasta Swego. A oto przynieśli Mu powietrzem ruszonego, na łożu leżącego. A widząc Jezus wiarę ich, rzekł powietrzem ruszonemu: Ufaj synu, odpuszczając się grzechy twoje. A oto niektórzy z piśmiennych mówili sami w sobie: Ten bluźni. A widząc Jezus myśli ich, rzekł: Czemu myślicie złe rzeczy w sercach waszych? Cóż jest łacniej, rzec: odpuszczone są tobie grzechy twoje, czyli rzec: wstań, a chodź? Lecz, abyście wiedzieli, że Syn człowieczy ma moc na ziemi odpuszczać grzechy, tedy rzekł powietrzem ruszonemu: wstań, weźmij łoże twoje, a idź do domu twego. I wstawszy, poszedł do domu swego. A widząc to rzesze, bały się, i chwaliły Boga, który dał takową moc ludziom.

NAUKA.

Najmilsi! Potrójny dowód Boskości Swojej składa Pan Jezus w tem zdarzeniu, które nam przytacza dzisiejsza Ewangelia św. Najprzód, bo człowiekowi powietrzem ruszonemu, którego doń przyniesiono odpuścił grzechy, a „któż może odpuścić grzechy, jedno sam Bóg?“ (Łuk. V, 21). Następnie, bo znał nawet myśli faryzeuszów, „Przecz myślicie złe w sercach waszych?“ (Mat. IX, 4) tak ich zapytał, gdy oni „mówili sami w sobie: Ten bluźni“ (Mat. IX, 3), a tylko „Pan zna myśli człowiecze“, jak powiada Psalmista Pański (Psalm XCIII, 11). A wreszcie, bo samem słowem: „Wstań, weźmij łoże twe, a idź do domu twego“ (Mat. IX, 6) człowieka chorego, sparaliżowanego na wszystkich członkach uzdrowił. Cud zaś taki uczynić mógł znowu tylko Ten, u którego „wszystko jest podobno“ (Mat. XIX, 26).

Lecz oprócz tego, że całe zdarzenie to tak silnymi dowodami umacnia wiarę naszą w Bóstwo Pana Jezusa, ma ono jeszcze inne dla nas znaczenie. Podaje nam mianowicie wiele nauk moralnych, z których abyśmy korzyść dla duszy zbawienną odnieść mogli, bliżej całą tę Ewangelię rozważmy.

Uzdrowienie człowieka powietrzem ruszonego przypada na pierwszy rok publicznej działalności Chrystusa Pana. Z krainy Gerazeńczyków, leżącej po prawym brzegu rzeki Jordanu, Pan Jezus „wstąpiwszy w łódkę przewiózł się i przyszedł do miasta Swego“ (Mat. IX, 1). Miastem tem było Kafarnaum nad morzem Galilejskiem. Swojem je Pan Jezus nazywał, bo w niem najczęściej gościł i najwięcej też cudów tam czynił. Nic też dziwnego, że skoro tylko wiadomość o Jego przybyciu się rozeszła, tak wielkie mnóstwo ludu cisnęło się do Niego, że jak zauważa św. Marek Ewangelista „zmieścić się nie mogli ani u drzwi“ domu, w którym Pan Jezus nauczał (Mar. II, 2). Jedni bowiem pragnęli słuchać Jego nauki, innych przyprowadziła ciekawość, aby zobaczyć cuda, a inni jeszcze chcieli się Mu przypatrzyć i bliżej Go poznać. Byli zaś i tacy, co nietylko sami przyszli, ale przywiedli ze sobą i chorych, aby ich Zbawiciel uzdrowił. Uwagę jednak wszystkich zwróciło na siebie czterech ludzi, którzy „przynieśli powietrzem ruszonego na łożu leżącego“ (Mat. IX, 2). Jak kłoda drzewa leżał on na tem łóżku. Paraliż odebrał mu wszelki ruch i siłę. Słyszał o Jezusie, że On wielu już chorych cudownie uzdrowił, to też w sercu jego nieprzeparte pragnienie, by się dostać do tego cudownego Lekarza. Trudno jednak było przecisnąć się przez tłumy. Cóż nie czynią litościwi ludzie, aby mu dopomódz? Jak czytamy w Ewangelii św. Łukasza „nie nalazłszy, którąby stroną go wnieśli przed rzeszą, wstąpili na dach i przez dachówki spuścili go z łóżkiem w pośrodek przez Jezusa“ (Łuk. V, 19). Domy bowiem żydów miały dachy płaskie z otworem w środku, wychodziło się zaś na nie po schodach. Spojrzał Pan Jezus na nieszczęśliwego leżącego na łożu, spojrzał na tych litościwych ludzi, którzy go przynieśli, „a widząc wiarę ich, rzekł powietrzem ruszonemu: Ufaj synu, odpuszczając się grzechy twoje“ (Mat. IV, 2). Zdumienie wielkie musiało ogarnąć wszystkich, kiedy usłyszeli te słowa. Toć chory pragnął zdrowia i uleczenia ciała, a Jezus grzechy mu odpuszcza. Wiedział jednak dobrze Zbawiciel, co czynił. On patrzył w duszę chorego i tam w niej czytał, że grzechy nagromadzone przez jego życie niedobre sprowadziły nań tę dotkliwą chorobę. Pierwej zatem, nim go z niej uleczy, usuwa przyczynę, a nam przez to daje naukę, gdzie źródła różnych nieszczęść i chorób naszych również szukać mamy. Oj! bo grzech to nietylko duszy, lecz i ciału szkodzi. Grzech nietylko karę po śmierci, ale i na tym świecie kary doczesne sprowadza. Jak grzech pierwszych rodziców raj w padół płaczu przemienił, bo dla niego rozmnożył Pan Bóg nędze i ziemi rodzić ciernie i osty rozkazał, tak i grzech każdy, który my popełniamy, nieszczęść jest przyczyną. Powiada bowiem Pismo św.: „Śmierć, krew, zwada i miecz, gwałty, głód, skruszenie i plagi wszystko to na niesprawiedliwe stworzono“ (Estyk. XL, 8, 9), licznemi zaś przykładami tę prawdę potwierdza. Dla grze-

chu świat ukarany potopem, dla grzechu Sodoma i Gomora ogniem została zniszczona, dla grzechu Pan Bóg żydów nieszczęściami nawiedzał. Grzech sprowadzał morowe powietrze, głód, pożary i wojny — za grzechy czy to pijaństwa, czy rozpusty, czy też chciwość i dziś niejeden pokutuje do łoża boleści ciężką nieuleczalną nieraz chorobą przykuty. A bywa także, że za grzechy jednego Pan Bóg całe wsie i miasta i całe okolice ciężką karą nawiedza, jakto o królu Dawidzie czytamy w II księdze Królewskiej, że kiedy uniesiony pychą lud swój przeliczyć rozkazał, wnet Pan Bóg mór na całą krainę żydowską dopuścił i umarło w trzech dniach siedmdziesiąt tysięcy mężów.

Ale niestety! choć to tak oczywista prawda, bo i Pismo św. i doświadczenie codzienne ją stwierdza, że choroby i różne nędze mają źródło w grzechu, bo i na sprawiedliwych je Pan Bóg już to dla grzechów innych, już też, aby ich od upadku uchronić, nieraz dopuszcza, — to jednak my w to wierzyć nie chcemy i zamiast w nawiedzeniu pokuty się imać, z grzechów się wyspowiadać, a w ten sposób słuszny gniew Boży przebłagać, to raczej na Boga narzekamy i przeciwko Niemu szemrzemy. Podobnie czynimy jak i ci żydzi w Ewangelii dzisiejszej, co kiedy usłyszeli, jak Pan Jezus powietrzem ruszonemu grzechy odpuścił, to chociaż już tyle mieli dowodów boskości Zbawiciela, przecież nie chcieli temu uwierzyć, by On mógł grzechy komu odpuszczać i „mówili sami w sobie: Ten bluźni“ (Mat. IX, 3). Aż Pan Jezus musiał ich przekonywać, mówiąc: „Przecz myślicie złe w sercach waszych? Cóż jest łacniej rzec: Odpuszczają się grzechy twoje, czyli rzec: Wstań a chodź?“ Zapewne łatwiej nietylko chorego uzdrowić, ale nawet i umarłego wskrzesić, niż grzesznika nawrócić i grzechy mu odpuścić, lecz dodaje Pan Jezus: „A iżbyście wiedzieli“, skoro chcecie cudu na potwierdzenie tego, „że moc ma Syn człowieczy na ziemi odpuszczać grzechy, tedy rzekł powietrzem ruszonemu: Wstań, weźmij łoże twe, a idź do domu twego. I wstał i poszedł do domu swego“ (Mat. IX, 4—7). A nietylko poszedł sam, lecz jak dodaje św. Łukasz: „wziął łoże, na którem leżał“ (Łuk. V, 25).

„Przecz myślicie złe w sercach waszych?“ Tak mógłby słusznie Pan Jezus zapytać i tych, którzy w chorobie lub innem jakiem nieszczęściu na Pana Boga narzekają, że o nich zapomniał i powtarzają: Nie wiemy, za co nas tak karze! Nie zapomniał o tobie, bo On i o najmniejszym robaczku pamięta, lecz czeka, żebyś się ty nawrócił i grzeszyć przestał, a wtedy cię uzdrowi. Cóż bowiem łatwiejszego dla Niego, jak powiedzieć: „Wstań, weźmij łoże twoje, a idź do domu twego“, ale podobno łatwiej byłoby ciebie nawet umarłego z grobu ruszyć, niźli z łoża twych grzechów: nieczystości, pijaństwa, gniewu, przekleństwa i innych. Woła: „Weźmij łoże twoje“ to jest: dotąd nosiły ciebie namiętności i różne złe żądze, teraz ty je weź w swoją moc i niemi kieruj. „Idź do domu twego“ tam, gdzie dotąd byłeś zgorszeniem dzieciom własnym — bądź im teraz przykładem i zbudowaniem, a wtedy cię uzdrowię i z choroby podźwignę. I niejeden już się o tem przekonał, że kiedy w ciężkiej chorobie wezwawszy do siebie kapłana wyspowiadał się z grzechów i szczerze poprawił, wnet mu zdrowie wróciło. Tak mu uczynił Pan Jezus jak i onemu powietrzem ruszonemu po odpuszczeniu grzechów.

„A ujrzawszy rzesze, bały się i chwaliły Boga, który dał takową moc ludziom“ (Mat. IX, 8). tak się kończy dzisiejsza Ewangelia św. Idź i ty za tej rzeszy przykładem. Słysząc jak dobrym jest Pan Bóg, że chociaż zsyła za grzechy kary, jednak się daje przebłagać i w tym celu dał kapłanom moc odpuszczania grzechów, nietylko chwal za to Boga, ale i z tej dobroci Jego korzystaj. Oczyść się z grzechów, powstań z łoża nałogów i żyj odtąd cnotliwie, a nietylko doczesnego, ale i wiecznego nieszczęścia unikniesz. Amen.

Chłopiec z depeszami.

Nad rankiem to było i słońce już wstało
I okiem promiennem po świecie spojrzało —
A lasy obszerne, cieniste, zielone,
Szumiały poważnie, światłem ozłocone.
Pod lasem uboga i stara lepianka —
Szarzała przy świetle letniego poranka.
Maleńki chłopczyna wysunął się z chaty —
Miał włosy jak złoto, a oczy bławaty.
„Nuż rychlej!“ rzekł sobie, „trza śpieszyć do lasu,
Gałęzi nazbierać, dla matki zawczasu,
By płomień rozniecić w zgasłem popielisku
I strawę uwarzyć przy ciepłem ognisku!“
Tak mówił chłopczyna i żwawo pogonił —
Gdy naraz szczęk szabli i tętent zadzwonił...
Przy lesie, hen, dołem wiła się drożyna.
Drożyną ktoś pędzi i konia wciąż wspina:
„To Polak, powstaniec! z rozkazem gdzieś jedzie“,
Zawołał chłopczyna — „Bóg niechże go wiedzie,
Niech w drodze osłania i strzeże wciąż gońca,
Bo żołnierz to polski, ojczyzny obrońca!
Hej, gdybym był duży i silne miał dłonie
I jabym tak z szablą popędził na błonie
I strzelał i rąbał i kłułbym Moskala!“...
Tak myślał chłopczyna.
Wtem słychać strzał z dala. —
I z dzikim okrzykiem wypadła z za krzaków
Ścigając ułana czereda kozaków:
Ku drodze wprost gonią — lecz dopaść nie mogą,
Bo Polak spiął konia i bodzie ostrogą
I pędzi jak wicher.
Powstała kurzawa,
A z tyłu kozacka ryczała wciąż wrzawa:
„Rebiata łowitie, łowitie, sałdaty!“
Chłopczyna osłupiał. — „Ha łotry! psubraty!
Zawołał, i drobne zacisnął rączęta —
„O biednym powstańcu, o niechaj pamięta
Pan Jezus z Maryą!“
Tak modli się mały.
Wtem z pośród kozactwa sypnęły się strzały..
Ach! kula kozacka powstańca ubodła —
Pochylił się ułan i zachwiał... spadł z siodła...
Chłopczyna jęk wydał — łzy w oczach zalśniły:
„O biedny!“ zawołał i bieży co siły.
I dopadł na miejsce, gdzie ułan w krwi broczy,
I schylił się nad nim — i patrzy się w oczy...
„Chłopczyno“, — rzekł ułan, — „przysłały cię nieba!
Mam ważne papiery: doręczyć je trzeba
Dziś jeszcze, za borem, dowódcy oddziału —
A powiedz mu dziecko, że padłem od strzału,
Gdy wierny rozkazom spieszyłem do niego!“
I westchnął głęboko — i podniósł twarz bladą,
I szepnął: „Uciekaj! Kozacy już jadą.“
A chłopak wzrok rzucił na bliską czerń wroga.
Skrył pismo na piersiach: „Polecę dla Boga!“
I żegna ułana, i w gąszczu już znika
I dalej się lasem jak sarna przemyka.

Biegł długo — wytrwale — aż oto polana!
A na niej, tuż obóz! młódź nasza zebrana
I szyk się powstańców rozwija na błoni —
Wśród szarych szeregów głos słychać: „Do broni!“
Chłopczyna z radością zawoła: „To oni!“
„Kto idzie? daj hasło! Ktoś chłopię ty bose?“
„Syn Marty z pod lasu, papiery wam niosę!
Bo ułan tam poległ na leśnej drożynie —
Niech żyje powstanie! a Moskal niech zginie!“
Tak wołał chłopczyna. Puściły go straże,
Pacholę do wodza prowadzić się każe:
„O wodzu! tam w lesie zbierałem paliwo,
Wtem ułan powstaniec przypędził co żywo,
A za nim tuż oddział kozaków gnał cały —
Dosięgnąć nie mogli — więc hukną ich strzały,
I ułan spadł z konia... wyzionął już ducha,
Lecz jego papiery są oto!“...
„Patrz zucha!“
Zawołał wódz polski i oczy sokole
Wytężył na małe, odważne pacholę;
„I czemże, chłopczyno, twą dzielność nagrodzę?“
„Ja nie chcę nagrody“, rzekł chłopak, „odchodzę.
Spełniłem powinność! nie chcę żadnej łaski —
I spieszę, bo matka tam czeka na trzaski.
Więc bądźcie mi zdrowi — a bijcie Moskali“.
Pokłonił się — odbiegł — i zniknął w oddali. —

Z pamiętnika marynarza.

Było to w roku 1830. Kapitan Graah, który z ramienia rządu duńskiego wysłany został na Grenlandyę w celu poszukiwania osad Austurbygd i Westerbygd, doszedł do przekonania, że zostały one przywalone i zniszczone naporem lodowców. Gdy nam, załodze, oświadczył o tem, łzy zabłysły w naszych oczach. Grenlandya, ta kraina wiecznych lodów i mroków, licząca 20 000 mil kwadratowych, wydarła życie dziesiątkom osób, które przybyły tutaj szukać nowej ojczyzny. Ja, najmłodszym będąc z pośród marynarzy i mając postanowienie pilnie zapisywać wszystko, czego świadkiem będę w tych krainach podbiegunowych, uczułem nieprzepartą chęć do nowych poszukiwań na korzyść nieszczęsnych ofiar lodowców.

Kapitan Graah, rozśmiał się gorzko, gdym mu wyjawił moje myśli, lecz po chwili rzekł:

— Jeśli masz silne postanowienie jeszcze raz przeszukać lodowce, to udaj się na zachód i trzymaj w pobliżu morza, kto wie, czy nie odnajdziesz drogi do Westerbygd. Kolonia ta powinnaby istnieć dotychczas, co zaś do Austurbygd, to niema najmniejszej wątpliwości, że spotkało ją to wielkie nieszczęście, o którem wam dziś oznajmiłem: olbrzymie góry lodowe na wieki ją pogrzebały.

— Pójdę więc w imię Boga — rzekłem, a on po ojcowsku ucałował mnie w czoło i dał dziesięciu ludzi do pomocy.

Nazajutrz już byliśmy wśród śniegów, dążąc na wschód.

Pierwszego dnia nie spotkaliśmy ani żywej duszy, dopiero na drugi dzień, pod wieczór, ujrzeliśmy ślady sanek ciągnionych przez reny. Jakoż wkrótce spotkaliśmy kilku Eskimosów, wiozących ryby z połowu morskiego.

Gdy nas ujrzeli, zaczęli dawać nam znaki, ażebyśmy się zbliżyli, poczem jeden z nich rzekł w narzeczu eskimoskiem:

— Iść ku morzu, tam są wasi bracia.

Nic więcej nad to nie mogliśmy się dowiedzieć, bo nawpół dziki ten człowiek, zdawało się, że nie rozumie naszych pytań, wzruszał tylko ramionami i powtarzał pierwej już wygłoszone zdanie.

Po krótkiej naradzie postanowiliśmy udać się nad brzeg morza, którego szum dobiegał już uszu naszych, albowiem w tej stronie wznosiły się strome, wysokie skały, tworząc nieprzystępną zaporę dla gniewnych zapędów fal wzburzonych, przybywających tutaj z oceanów całego świata i rozbijających się o te granity.

O jakich-że to braciach mówili Eskimosi? Chybaby o zaginionych kolonistach, których poszukiwaliśmy.

Mrok wieczorny zapadał, gdyśmy dotarli do wąskiego przesmyku wśród pasma skał nadbrzeżnych. Szum wzburzonego morza podobny był do gromów zbliżającej się burzy.

— Zatrzymajmy się! — radziło kilku marynarzy — tam zbliżać się niebezpiecznie.

Lecz ja postanowiłem przekonać się, czy prawdę mówili Eskimosi i bądź co bądź przedostać się nad morze. Po godzinie nadludzkich wysiłków, z trzema towarzyszami, ujrzałem nakoniec wzburzone fale morskie. Krajobraz otaczał nas skalisty, dziki, ponury; szum i ryk bałwanów nie pozwalał na rozmowę. Upadając ze znużenia, roznieciliśmy jednakże ogień, ażeby dać znać o sobie towarzyszom. Był to dobry pomysł, albowiem wkrótce na przeciwległej skalistej ścianie nadbrzeżnej ujrzeliśmy również ogień. A więc tam byli ludzie, którzy lada chwila powinniby do nas się zbliżyć. Tymczasem noc zapadła, a oni nie przybywali. Czekaliśmy na nich przez całą noc, lecz nadaremnie.

Gdy dzień zajaśniał, oczom naszym przedstawił się widok w swoim rodzaju nieporównany. Na dwóch stromych urwiskach siedzieli ludzie i palili ogień. Zbliżyć się do nich nikt nie mógł, gdyż skały były strome, a nawet prostopadłe, jak zręby olbrzymich kamienic.

W jakiż sposób dostali się tam i w jakim celu? Dlaczego teraz nie mogli z nich zejść, bo że tego pragnęli, to widać było z rozpaczliwych ruchów i znaków, które nam dawali? Tymczasem reszta mojej drużyny nadciągnęła i postanowiliśmy dopóty szukać sposobu, dopóki nie uda nam się tych nieszczęsnych ocalić.

Wtem ogromny plusk morza w pobliżu zwrócił naszą uwagę. Ujrzeliśmy niespodziewanie kilka olbrzymich wielorybów, które i owi ludzie na skałach snać spostrzegli, gdyż zaczęli machać rękami i nad samą krawędź skał się schodzić. Olbrzymi wieloryb tuż obok nich przepłynął, a za nim goniło stado rekinów. Choć długo żeglowałem po morzach całego świata, lecz na podobny widok po raz pierwszy patrzyłem.

Tymczasem zbliżył się do mnie jeden z starszych marynarzy, zapalony do łowów na wieloryby, mówiąc:

— Nic to dziwnego, bo ten wilk morski, ten rozbójnik straszny, rekin, inaczej ludojadem zwany, jest zawziętym nieprzyjacielem wieloryba. Ściga on go zapamiętale, a zwykle w towarzystwie kilku lub kilkunastu innych, napada na to ogromne stworzenie, wyrywa z niego kawały mięsa i prześladuje nieubłaganie, dopóki traf szczęśliwy nie oswobodzi nieszczęsnej ofiary od krwiożerczego wroga.

Dalsze opowiadanie marynarza przerwał wykrzyknik jednego z młodszych marynarzy.

— Ci ludzie są na skale zewsząd otoczonej morzem!

Rzeczywiście, los tych tajemniczych rozbitków zaczął w nas budzić coraz to większe zaciekawienie.

Co tam robili? Wskutek jakiej katastrofy zostali tam odosobnieni od reszty świata? Czem żyli?

Zaledwie te pytania przeszły mi przez głowę, gdy ujrzałem, jak nieszczęśni więźniowie na tej skale podbiegunowej zaczęli machać rękoma, dając nam najwyraźniejsze znaki, ażebyśmy im śpieszyli z pomocą. Krzyknąłem na moich towarzyszy; zabraliśmy się do dzieła. Trzeba było bądź co bądź wynaleść przejście i oswobodzić tych ludzi.

Ze dwie godziny zeszło nam na daremnych poszukiwaniach jakiegokolwiek przystępu do tej czarodziejskiej skały. Napróżno, wszędy napotykaliśmy zapory nie do zwalczenia, przepaści i nurty oceanu.

Zrozpaczeni, już mieliśmy wysłać kilku ludzi z powrotem do kapitana Graah, ażeby zasięgnąć jego rady, gdy nagle, tuż nad naszemi głowami, załopotały skrzydła gołębia, który wnet spadł o kilkadziesiąt kroków dalej, trzymając pod skrzydłem kawałek papieru. Zrozumieliśmy, że to poselstwo do nas od owych uwięzionych.

Zmęczony ptak nadaremnie usiłował wzbić się w górę, znów spadł i wówczas, podskoczywszy zręcznie, schwytałem go i drżąc z niecierpliwości, odwiązałem tajemniczą kartkę.

Były w niej skreślone ołówkiem następujące słowa w języku angielskim i francuskim:

„Napór lodowców zniszczył naszą kolonię Austurbygd, zaś niezbadane dotychczas przyczyny wywołały katastrofę podziemną, której ofiarą padliśmy, albowiem zostaliśmy odcięci morzem od lądu, bez środków ratunku, nadziei ocalenia".

Poniżej następowały podpisy czternastu kolonistów duńskich.

Trzeba więc było za jakąkolwiek bądź cenę ratować tych ludzi.

Cały dzień upłynął nam na przemyśliwaniu i szukaniu najdogodniejszego miejsca do rzucenia drabin sznurowych, po których nieszczęsne ofiary katastrofy mogłyby się z nami połączyć.

Niestety, na miejsce podobne nie natrafiliśmy, wszędy piętrzyły się wysoko groźne, poszarpane odwieczne skały granitowe.

Wreszcie, gdyśmy już tracili cierpliwość i nadzieję, ujrzeliśmy strasznego wroga — niedźwiedzie białe, które wychyliwszy się z wodnej topieli, zaczęły wspinać się po lodowcach ku górze, to jest ku więzieniu owych biedaków.

Dreszcz przebiegał nas od stóp do głów.

Potworów było pięć i najwidoczniej zmierzały na osamotnioną skałę.

Szczęśliwi, że uniknęliśmy ich napadu, będąc nieprzygotowani do walki, chwyciliśmy za broń i ja pierwszy przyłożyłem się do strzału.

— Na Boga, ani się ważyć strzelać — krzyknął stary marynarz Piotr Krafte. — Czyż pan nie widzisz, że te potwory wskażą nam którędy najłatwiej wedrzeć się na skałę?

Miał słuszność poczciwy Piotr, który jeszcze dnia tego zginął w walce z białymi niedźwiedziami, gdy zbyt nierozważnie zapuścił się w ich ślady.

Potwory te istotnie wdzierały się coraz wyżej po granitach i lodowcach, lecz w połowie drogi zatrzymały się, gdyż dalej skalista ściana zwieszała się prawie prostopadle, tak, że niepodobieństwem byłoby wspinać się po niej ku górze. Wówczas to zginął poczciwy Piotr, albowiem zwierzęta nagle zawróciły i myśmy rozpoczęli z niemi straszną walkę, w końcu dla nas zwycięską.

Wycieńczeni, znużeni trudami, nie wiedzieliśmy co czynić dalej, gdy naraz usłyszeliśmy sygnał trąbki naszego dowódcy, kapitana Graah, który, zaniepokojony o nas, na czele kilkudziesięciu ludzi trafił na nasz trop i szedł nam z pomocą.

Gdyśmy mu opowiedzieli nasze przygody, zdziwienie jego nie miało granic.

— Bóg cię natchnął dobrą myślą, mój zuchu — rzekł, całując mnie po ojcowsku — trafiłeś na rozbitków z Austurbygd. Spotkałby był tych nieszczęśliwych ten sam los, co resztę kolonistów, to jest zginęliby wśród lodowców, które ze wszystkich stron ścisnęły ich, niby potworne machiny oblężnicze. Bogu niech będą dzięki, że tych kilkunastu ocalimy.

Jakoż nazajutrz, po drabinach sznurowych i linach udało nam się dostać na płaski szczyt tej strasznej skały i uwolnić nieszczęsnych więźniów.

Opowiadania ich potwierdziły w zupełności nasze domysły. Uchodząc przed naporem lodowców z kolonii Austurbygd zatrzymali się nad morzem i tu spotkała ich katastrofa oberwania się lodowców i brył granitowych.

TO I OWO.

KTO MA KREDYT W AMERYCE.

Czasopismo włoskie „Minerva" zawiera ciekawe poglądy miliardera Pierpont Morgana. Pytano go kiedyś po tej stronie Atlantyku: Jakiej żądają w Ameryce gwarancyi od ludzi, którym banki użyczają pożyczek? Odpowiedź charakterystyczna:

— Jeżeli pan X. przychodzi do mnie po pożyczkę, nie pytam, ile ma.

— Jakto? — zdziwił się pytający. — Żąda pan chyba poręczycieli?

— I to nie. Żądam... charakteru. Przypominam sobie, że kiedyś udzieliłem kredytu na milion dolarów człowiekowi, który miał dziesięć palców, nic więcej. Wiedziałem, że dorobi się, że mi odda. I oddał. Dziś jest miliarderem.

— Czy dużo ludzi otrzymuje kredyt, nie mając pieniędzy?

— Bardzo dużo, bo u nas dużo ludzi ma charakter. Człowiek, który ma charakter i głowę, choćby nic nie miał poza tem, dostanie u nas zawsza pożyczkę. Człowiek bogaty, ale o charakterze wątpliwym, nie znajdzie kredytu.

— Czy taki jest wogóle system banków, czy tylko pański?

— No, jestto metoda ogólna. Gdy ktoś zgłasza się do nas o pożyczkę, przedewszystkiem dowiadujemy się o interesy, które robił i jak je robił. Nie dałbym centyma człowiekowi, który nie wzbudzałby we mnie zaufania, choćby cały świat do niego należał.